

Komitet Obrony Płutokracji

22 grudnia 2015

Przy okazji wiosenno-grudniowych porządków wyprałem białą chustę z zamalowanym na czerwono obrysem granic Polski, zdobnym w krótki, śnieżnobiały komunikat „STOP”. Wokół kołnierza biegnie napis: „Dość lekceważenia społeczeństwa. Ogólnopolskie dni protestu”. U góry okolicznościowej chusty zapisano: „14 września – Warszawa. Chodźcie z nami”. To był 2013 rok, związki zawodowe zorganizowały wówczas największy i właściwie jedyny w ciągu ośmiu lat rządów Platformy Obywatelskiej wspólny protest środowisk prospołecznych i lewicowych. Zapewne część z was tam była, albo byli tam wasi przyjaciele, znajomi, matki, żony i kochanki. Były tam też niespełnione marzenia o sprawiedliwości społecznej, którą jacyś lepsi kpiarze zapisali w konstytucji III Rzeczypospolitej.

W większości mediów ówczesne wystąpienie środowisk propracowniczych przyjęto ze znacznym chłodem. Nie emocjonowali się nim także zbytnio ludzie, którzy dziś chcieliby na lewicy uchodzić za arbitrowe elegancje pod względem tego, jak wypada, a jak nie wypada bronić demokracji, żeby nie sprawić przy okazji przykrości osobom z liberalnego centrum. Wyjątkiem były środki przekazu związane z Prawem i Sprawiedliwością, ale i to przecież nie z racji ich wielkiej miłości do związkowców czy praw pracowniczych, ale ze względu na wspólnego akurat wroga. Ogólnie media masowego rażenia jakoś nie chciały wołać z tysiącami ludzi: „Dość lekceważenia społeczeństwa!”; nie chciały z nami, wówczas maszerującymi (a szliśmy przecież razem i gromadnie z dość różnych kierunków ideowych), bronić elementarnych standardów propracowniczych, które wypadałoby chronić w państwie prawa, jeśli serio traktuje się jego, podobno demokratyczne, realia.

Uznani publicyści oraz prominentne szefostwo medialnego biznesu (dyskretnie niepokazujące twarzy w takich

okolicznościach) zapewne szczerze by się oburzyli, gdyby im ktoś wówczas powiedział, że to był protest także przeciw łamaniu elementarnych demokratycznych standardów, przeciw przyzwoleniu ówczesnej władzy i instytucji państwa polskiego na lekceważenie praw pracowniczych, przeciw wyzyskowi, przeciwko śmieciowym pensjom i formom zatrudnienia – temu wszystkiemu, co wzmaga procesy skundlenia i ubezwłasnowolnienia wśród znacznej części niższych warstw społecznych. A to przecież, w połączeniu z supremacją establishmentu politycznego i biznesowego, zmieniło u nas w praktyce demokrację w system oligarchiczny. Właśnie tego pomieszania pojęć, tej władzy nielicznych, maskowanej demokracją parlamentarną, nieodmiennie bronią elity w burżuazyjnym państwie zbudowanym na neokolonialnym konsensusie. Zresztą tamten marsz to był bardziej teatr uliczny niż „walki barykadowe”, ale i to było nie w smak miłośnikom porządku panującego na co dzień w Warszawie.

Sytuacja jest rozwojowa. Wszak mocno promowana przez liberalny mainstream i jego lewicowe satelity partia Ryszarda Petru jeszcze lepiej niż Platforma Obywatelska jest przysposobiona do zaprowadzenia rządów plutokracji. Co gorsza, duża część klasy politycznej, łącznie z najnowszym „antysystemowym” zaciągiem, dość wyraźnie ewoluuje w stronę biernego lub czynnego przyzwolenia na taki stan rzeczy. Gdy spojrzeć zresztą choćby na niedawne zapowiedzi Prawa i Sprawiedliwości, dotyczące rozmontowania i tak bardzo u nas słabej Służby Cywilnej, to odnieść można wrażenie, że III Rzeczpospolita jest w ciągłym stanie larwalnym, żadna pewna forma nie nastąpiła, żadne realne (pro)państwowe status quo nie jest nam dane – wciąż i wciąż mamy do czynienia z grą przeobrażających się interesów w sferze publicznej. To powoduje, że i tak rozbite społeczeństwo doświadcza dodatkowo poczucia iluzoryczności i przypadkowości struktur publicznych, które powinny okrzepnąć w jakąś stałą i przewidywalną formę. Niestety, jedynymi pewnikami są te dotyczące supremacji logiki rynku nad rzeczywistością. I może jeszcze coraz bardziej

eskapistyczne formy ucieczki w plemienną religijność, która korzysta dla swoich celów z chrześcijańskiego imaginarium.

Dość już dawno temu, na kartach pracy „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa” Fryderyk Engels zapisał zdania, które warto przypomnieć i w Polsce, w 2015 roku, na przecięciu się rządów Platformy Obywatelskiej i Prawa i Sprawiedliwości: Ponieważ państwo powstało z potrzeby utrzymania w korbach przeciwieństw klasowych, a jednocześnie samo powstało wśród konfliktów tych klas, to z reguły jest ono państwem klasy najsilniejszej, ekonomicznie panującej, która przy jego pomocy staje się również klasą panującą politycznie i w ten sposób zdobywa nowe środki do ciemnienia i wyzyskiwania klas uciskanych.

Co mówi nam myśliciel dziś w Polsce wyklęty? Władzę w kapitalistycznym państwie sprawuje na ogół klasa ekonomicznie najsilniejsza, która staje się z czasem także władzą polityczną. Engels opowiada dzieje warstwy rządzącej w jego czasach państwami zachodnimi; warstwy, która odrzuciła dawne feudalne instytucje w takim stopniu, w jakim mogła uznać je za przeszkodę dla własnych interesów, i zachowała resztki konstytuujące przeszłość o tyle, o ile sprzyjało to legitymizacji nowego ładu. Tą warstwą jest burżuazja, która w kapitalistycznym świecie redefiniowała i ustaliła na nowo relacje z monarchią i Kościołem, kontrolowała także demokratyczne formy legitymizacji władzy i kontaktów z masami.

Jak jest dziś w Polsce? Kto jest klasą rządzącą? Partie polityczne są przecież tylko elementem pola gry, a ściślej – niektórzy partyjni decydenci współdecydują o formach władzy, sposobach redystrybucji środków oraz o tym, kto będzie beneficjentem w danych realiach, na prawach podwykonawcy. Partie parlamentarne są ważną częścią składową rodzimego ładu, ale i one dysponują ograniczonym potencjałem oddziaływania. Pozostali aktorzy to oligarchiczny biznes (i jego media), czyli na ogół „frakcja kosmopolityczna/europejska”. Dalej mamy kastę menedżerów i poddaną zwykle partyjnym lojalnościom kadre

dyrektorską ważnych centralnych instytucji. Później – średni i drobny biznes, który coraz częściej posługuje się retoryką narodową, ponieważ znaczna jego część dostrzegła już swój śmiertelny konflikt z „kosmopolitami”. Uwzględnić też trzeba Kościół w Polsce, który gra na zachowanie konsensusu z lat 90. XX w., czyli w swym głównym nurcie akceptuje polski ład społeczno-gospodarczy, w zamian za kilka dobrze znanych ustaw i rozwiązań służących transferowi środków publicznych do instytucji okołokościelnych.

Możemy też wskazać na inteligencję opiniotwórczą jako tę warstwę, która szuka dla siebie kanałów dystrybucji pieniędzy i prestiżu między wyżej wskazanymi podmiotami. Z reguły składa ona hołd lenny „kosmopolitom”. Osobno należałoby poddać analizie, jak często przekonanie o słuszności praktyk politycznych, ekonomicznych i światopoglądu „kosmopolitów” wynika z możliwości uzyskania solidnej gratyfikacji. Niżej mamy – zwyczajowo – szeroką podstawę, czyli masy zdezorientowanych na ogół pracowników najemnych, łącznie z samozatrudnionymi „przedsiębiorcami”. Najniżej są ludzie trwale wykluczeni, postrzegani na ogół w realnym liberalizmie jako najwłaściwsza grupa „dla socjału”.

W ciągu ostatniej dekady w Polsce doszło do wyraźnego zblatowania między jedną z partii, wielkimi mediami, decyzyjnymi ośrodkami unijnymi oraz wielkim biznesem. To był nasz rodzimy „burżuazyjny konsensus”, na tyle istotny, że w większości ośrodków tzw. czwartej władzy nigdy nie zaprzętało sobie głowy standardami rodzimej demokracji. Skoro rządziła właściwa część elity politycznej – wszystko było w porządku. Owszem, czasem coś zazgrzytało, ale rzadko które spory załatwiano na oczach publiczności. Jeśli protestowały masy – stosowano zwyczajową retorykę dyskwalifikującą ich sprzeciw jako populistyczny, demagogiczny, względnie propisowski. Dobrze to żarło, ale zdechło. I, jak się wydaje, polityczny zwornik został wymieniony na inny: nowa polityka na usługach kosmopolitycznej oligarchii nie ma już twarzy wiecznie młodego

lidera Kongresu Liberalno-Demokratycznego, ale – znów młodą! – twarz milionera i eksperta od probankowej ekonomii, Ryszarda Petru. A Prawo i Sprawiedliwość? Cóż, partia nielicznej narodowej burżuazji i znacznie szerszej obecnie narodowej klasy średniej szuka sprzymierzeńca wśród warstw niższych – po części interesownie, po części z przekonania. I to obecnie jest najważniejszy metapolityczny spór w III RP. Wielką naiwnością jest sprowadzanie go do uliczno-medialnego spektaklu, w którym „okołoliberalni demokraci” ścierają się z „okołonarodowymi autorytarystami”.

Skoro była mowa o Engelsie: kilka uwag na temat relacji bytu do świadomości. Znamy dobrze powszechnie używany przez neoliberalistów i oligarchię argument przeciw protestom słabo opłacanych, wyzyskiwanych, wyrzucanych z roboty choćby za próby założenia związku zawodowego pracowników najemnych: oto plebs/robole/roszczeniowcy nie myślą o niczym innym tylko o kiełbasie, i o tym, żeby napchać kałdun, i wykorzystać swojego pracodawcę-dobrodzieja. W takim opisie zawsze następuje celowo radykalne zerwanie między etyką, porządkiem sprawiedliwości społecznej a nader przyziemnym instrumentem zabezpieczenia praw wyższych, jakim jest pieniądz od czasów, gdy w skali globalnej zwyciężył kapitalizm. Gdy natomiast oligarchia dba o swoje interesy, również w naszych czasach, często piórami publicystów mainstreamowych i niszowych opłacanych za pośrednictwem niezbyt oczywistych dla szerszej publiki transferów finansowych, to już nie jest „troska o kałdun”. Elita, choć to pieniądz/majątek zabezpieczają jej wysoką pozycję, wpływy i możliwości kształtowania świata, jest arcysubtelna. Plebs to wulgarny materializm, kiełbasa i roszczenia, elita to idee, bywanie na salonach lewych czy prawych, majątek zabezpieczony przed fiskusem. Plebs chce podwyżek? To brzydko, to źle, to egoizm. Elita bierze sute dywidendy, odprawy i premie, zabezpiecza sobie dostęp do usług publicznych ale w wersji niedostępnej ogółowi szaraczków i rzuca granty utrwalaczom porządku? To wspaniale, to owoc ciężkiej pracy, to nagroda za rzetelność i zdolność do

eksperckiej oceny rzeczywistości.

Ponieważ na lewicy również zwycięża stricte techniczny opis realiów społeczno-gospodarczych, który każe się odwoływać do pragmatycznych korzyści z redystrybucji i egalitaryzmu czy wręcz stanowi próbę „utylitarystycznego przekupstwa” warstw wyższych i prawicy, w myśl zasady „gdzie panuje równość, wszystkim żyje się lepiej”, to trudniej jest mówić, że niskie pensje, brak zabezpieczeń społecznych czy rugowanie praw pracowniczych są nieetyczne. Choć wielu Polaków ma poczucie, że to po prostu niemoralne płacić grosze za ciężką fizyczną pracę, ale także za odpowiedzialną pracę umysłową, albo płacić relatywnie coraz mniej za coraz większą liczbę narzucanych odgórnie obowiązków, to jednak publicznie Polacy wciąż w swojej masie nie potrafią tego zwerbalizować. Ta dość nieliczna grupa, które wychodzi „bronić demokracji”, a której znaczna część milczy, gdy idzie o los zwykłych ludzi – nie pomoże tego zmienić. Nie bez powodu tak źle jest widziane w mainstreamowym dyskursie słowo „wyzysk” – ono wprost narzuca ciąg trafnych skojarzeń między ludzką krzywdą, niską płacą, ciężką pracą a czyjąś chciwością, egoizmem, bezkarnością, przywłaszczeniem cudzego dobra, zawłaszczaniem nadmiaru korzyści z ludzkiego wysiłku.

Dzieje się tak często: bezradni wobec lokalnych realiów kobiety i mężczyźni przywykli do faktu, że ich pensje nie rosną albo rosną nieznacznie, za to koszty życia bezwzględnie i szybciej wciąż idą w górę; przywykli też do faktu, że „tak już dziś jest” (dobry Boże, jak często słyszę ten manifest poddaństwa z ludzkich ust!), że często nikt ich nie obroni w sporze z pracodawcą, że państwo abdykowało, że elity są obce, że gdy włączą telewizor, nie dowiedzą się niczego o swoim losie, o swoich prawach, o swoim trudzie. Owszem, dowiedzą się co najwyżej, że mogą wziąć szybki kredyt przedświąteczny i że tyle jest wspaniałych rzeczy do kupienia przed Bożym Narodzeniem. Dowiedzą się też może, że odpowiednio krzykliwe nieszczęście, odpowiednio zdeformowana choroba twarzy dziecka i

odpowiednio skruszona mina, wyjątkowo wiarygodny płacz do kamery – są gwarantami okolicznościowego szlachetnego pakunku. Dowiedzą się też, że aktualnie to multimilioner Ryszard Petru jest ostatnim dziś obrońcą demokracji. Ale gdzie tu właściwie jest miejsce na demokrację? W jaki sposób ludzie wyzyskiwani partycypują w niej? Smutna prawda jest taka, że dla nie tak małej części społeczeństwa III RP tym się realnie różni od PRL, że państwo na ogół nie koncesjonuje dostępu do dóbr materialnych i kulturalnych. Teraz profesjonalnie zajmuje się tym rynek, który za sprawą bodźców i barier finansowych bardzo precyzyjnie wskazuje każdemu jego miejsce w szeregu i reguluje relacje międzyludzkie i społeczne. Znaczna część społeczeństwa jest wycofana z życia publicznego właśnie w wymiarze lokalnym, w sprawach drobnych wspólnot, małych ojczyzn często skazanych na rządy miejscowych sitw, które w dzisiejszych czasach stanowią najróżniejsze mozaiki sił biznesowo-polityczno-klerykalnych.

Na koniec: nie rozumiem o co chodzi ludziom, którzy wypominają dziś partii Razem, że źle broni demokracji przed Prawem i Sprawiedliwością, ponieważ pozwala sobie przy tym na krytykę klasy panującej III RP i jej nowego pupila: partii .Nowoczesna. Otóż nie da się „dobrze bronić demokracji” wespół z panem Petru, bo koniec końców wilk zje owieczkę, która mu zaufa i za blisko do niego podejdzie. Albo jeszcze gorzej: kolejne pokolenie lewicy w Polsce będzie jadło z ręki neoliberalom. Powiedzmy to sobie jasno: pan Petru nie broni demokracji. Ludzi pokroju pana Petru w ogóle nie powinno być w polityce, jeśli ma ona faktycznie mieć demokratyczny charakter. Więcej jeszcze – pan Petru i jego formacja są zapowiedzią plutokracji po polsku. Nie bez powodu „Newsweek Polska”, kierowany przez Tomasza Lisa, w połowie grudnia 2015 r. ogłasza: „Sensacyjne wyniki nowego sondażu! Nie minęły dwa miesiące od wyborów i PiS traci prowadzenie. Nowoczesna wyprzedza PiS”. A wspólne zdjęcie Ryszarda Petru i Barbary Nowackiej (z palcami ułożonymi w geście „Solidarności”) to gruba kpina ze wszystkiego, co powinno być cenne dla

społecznej lewicy, niezależnie od jej partyjno-środowiskowych afiliacji. Nikt przy zdrowych zmysłach, kto uznaje się za lewicę i ma problem z rządami PiS, nie może z tej przyczyny zapisywać się do Komitetu Obrony Plutokracji – nerwowe i interesowne sygnały, jakie dziś płyną w tej materii choćby z obozu Agory, powinny być ostrzeżeniem dla młodszych pokoleń lewicy. Jest sens krytykować partię, która aktualnie rządzi, ale nie ma najmniejszego sensu przy tej okazji poświęcać się dla dobra klasy długotrwale panującej III RP, choć pokusa jak zwykle jest dla lewicy duża.

Autorstwo: Krzysztof Wołodźko

Źródło: NowyObywatel.pl